

**LECH
LESZEK
WYGRAĆ
WOLNOŚĆ**

Dziękujemy naszym Czytelnikom
za wybór książek Wydawnictwa Znak!



**LECH
LESZEK
WYGRAĆ
WOLNOŚĆ**

**LECH WAŁĘSA I LESZEK BALCEROWICZ W ROZMOWIE
Z KATARZYNAŃ KOLENDĄ-ZALESKĄ**

**Znak Horyzont
Kraków 2019**

Projekt okładki
Anna Slotorsz

Zdjęcie na okładce
Przemysław Świdorski

Redakcja
Maciej Gablankowski

Opieka redakcyjna
Maciej Gablankowski
Patrycja Satora

Koordinacja projektu „30 lat wolności”
Agata Stremecka
Patrycja Satora

Wybór ilustracji
Maciej Gablankowski
Daniel Natkaniec

Adiustacja
Ewa Pensyk-Kluczkowska

Korekta
Joanna Kłos
Justyna Kukian

Łamanie
DAKA – Studio Graficzne, Dawid Kwoka

© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2019

ISBN 978-83-240-5750-4

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2019. Printed in EU

[PROLOG]

LECH WAŁĘSA: Chcecie wracać do przeszłości? Po co?

LESZEK BALCEROWICZ: A chce Pan, żeby zwyciężyła wersja przeciwników naszego wielkiego przełomu?

LW: Ale to nie tak trzeba walczyć! To inaczej! Ja za chwilę idę z tego świata. Kto mi uwierzy?

LB: Większość ludzi.

LW: I co zrobią?

LB: Zrozumieją. To, w co ludzie wierzą odnośnie do naszej przeszłości, ma ogromne znaczenie dla przyszłości. Dla następnych pokoleń znajomość prawdziwej historii jest kluczowa.

LW: Następne pokolenia będą burzyć nasze pomniki. O ile takowe powstaną.

LB: Nie będą burzyć, jeśli poznają prawdę. Kłamliwa propaganda jest skuteczna, dopóki nie napotyka na opór. Z fałszowaniem przeszłości trzeba walczyć. Zwłaszcza gdy ktoś jest częścią historii.

LW: Opowiedzmy naszą wersję i zamknijmy ten rozdział. Trzeba iść do przodu.

[1]

Obrady Okrągłego Stołu rozpoczynają się 6 lutego, a kończą 5 kwietnia 1989 roku. Władza zgadza się na częściowo wolne wybory do Sejmu i stuprocentowo wolne wybory do nowo powstałego Senatu. Zaczyna się kampania wyborcza i całkowicie nowy etap w historii Polski.

LB: Nie brałem udziału w obradach Okrągłego Stołu. Moje wrażenia, na pewno inne niż osoby, która w nich uczestniczyła, były takie, że takich rezultatów żadna ze stron nie oczekiwała. To znaczy strona solidarnościowa, pod przywództwem Lecha Wałęsy, chyba nie oczekiwała, że władza zgodzi się na wolne wybory do Senatu i półwolne wybory do Sejmu, strona partyjna nie oczekiwała chyba, że tak je przegra. W tym sensie to była niespodzianka i na pewno to przełom, bez którego nie byłoby dalszego ciągu.

LW: Komuna wierzyła, że dadzą nam trochę, te 35 procent, a my się podzielimy i pokłócimy. Oni właśnie tak chcieli nas podzielić: na grzecznych i niegrzecznych. A tych, co będą podskakiwać, to ich potem złuzujemy – tak zakładali. Moja taktyka była inna. Dajcie te 35 procent, a my sięgniemy po 100. Demokracja jest jak ciąża, albo jest się w ciąży, albo nie. 35 procent to żadna demokracja. Ale nie było wyboru, musiałem się na to zgodzić. Zakładałem, że potem, jak już dostaniemy władzę, to jej nie oddamy. I coś jeszcze wam powiem: ja przed władzą cały czas udawałem głupca.

KATARZYNA KOLENDĄ-ZALESKA, LB: Głupca?

LW: No tak, że niby nie wiem, o co chodzi, że nie mam ambicji żadnych – żeby oni tak mnie odbierali, jako głupca, który zupełnie się nie orientuje, co się dzieje. Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Adam Michnik oraz Jacek Kuroń, doradcy Solidarności od 1980 roku i opozycjoniści, byli intelektualistami, i to ich władza obawiała się najbardziej. Ciągłe się ode mnie domagano, żeby ich odsunąć, że oni to niby tacy radykałowie, zwłaszcza Michnik i Kuroń, że z nimi nie uda się osiągnąć żadnego kompromisu, że chcą obalić ustrój.

LB: To byli najbardziej znienawidzeni przez komunistów opozycjoniści, włącznie z Panem oczywiście. Władza się ich bała, bo oni się nie bali władzy.

LW: Dlatego nie mogłem się zgodzić na ich żądania, to byłaby zdrada. Oświadczyłem twardo: jeszcze nie zaczęliśmy rozmawiać, a wy już stawiacie warunki? W końcu zrozumieli, że jak dalej będą na mnie naciskać, to wszystko się zawali i nici wyjdą z negocjacji. I tak by się stało, Wojciech Jaruzelski pierwszy to zrozumiał. I Michnik z Kurońmi zostali. Ja cały czas z nimi grałem, pragmatycznie patrzyłem. Bo wiedziałem, że jeśli oni, komuniści, się zorientują, o co mi chodzi, to na nic się nie zgodzą.

LB (POCHYLA SIĘ W KIERUNKU LW, PRAWIE SZEPTEM): Nie zorientowali się?

LW: Gdyby od razu wiedzieli, że ja ich chcę rozwalić, to przecież musieliby rozwalić mnie. (ŚMIEJE SIĘ) A ja ich, komunistów, oszukałem. I wpychałem się tam, gdzie można było. Klinem. Bo przecież 35 procent demokracji to żadna demokracja. Tego nie wolno było brać. Teoretycznie oczywiście. W naszych warunkach – musiałem.

KKZ: Nie chcę, ale muszę. Wtedy to się zaczęło.

LW (UŚMIECHA SIĘ, POTAKUJĄC): Zaczęło się w 1988 roku. Nie da się zrozumieć tego, co wydarzyło się 4 czerwca, bez zrozumienia wydarzeń sprzed roku. No bo dziś można się zastanawiać, jak to się stało, że siedliśmy z komunistami do rozmów.

LB: Wielka, bezkrwawa zmiana systemu podziwiana przez cały świat. Bez rozlewu krwi, bez rewolucji, choć (UŚMIECHA SIĘ) tak naprawdę to była rewolucja.

LW: Rewolucja, ale na początku nic nie było przesądzone. Zwłaszcza że sytuacja była zupełnie inna od karnawału Solidarności, tego wielkiego entuzjazmu z 1980 roku. Myślicie, że nie wiedziałem, że nie ma już dziesięciomilionowego podziemnego ruchu? Wiedziałem! Społeczeństwo było zniechęcone, kto tam chciał się porywać przeciwko władzy. Do walki nikt się nie pchał. Ale mieliśmy też poczucie, że nasze osiem lat w opozycji jednak coś znaczy. Mieliśmy rzesze podziemnych kolporterów, poligrafów, życie opozycyjne mimo wszystko istniało. Nie zrezygnowaliśmy, ale to była w sumie niewielka garstka ludzi.

LB: Ale w maju 1988 roku wybuchają strajki w wielu zakładach pracy. W Stoczni Gdańskiej. W Hucie im. Lenina w Krakowie.

LW: Strajk w Hucie Lenina został zakończony brutalną pacyfikacją przez ZOMO. Poszły w ruch pałki, gaz, armatki wodne. Zaczęło się pod koniec kwietnia, 5 maja było już po wszystkim. Potem wybuchły niewielkie strajki w Stalowej Woli, w Bochni, strajk komunikacji miejskiej w Bydgoszczy. I wszyscy patrzyli na Stocznnię Gdańską. Jerzy Urban, rzecznik rządu, nazywał mnie wtedy terrorystą, bo ja przecież już nawet nie byłem pracownikiem stoczni. A na strajk



Strajk w Kombinacie Huty im. Lenina w Krakowie w 1988 roku

przyjeżdżałem. Ale z drugiej strony zaczęły się jakieś podchody, jakieś zabiegi ze strony komunistów, żeby zacząć z nami rozmawiać, które jednak brutalna akcja ZOMO zatrzymała.

LB: Oni czuli, że sytuacja gospodarcza zmierza do katastrofy. I że nie są zdolni do wydobycia Polski z kryzysu. To była kwestia czasu, kiedy państwo zbankrutuje.

LW: My nie wiedzieliśmy więcej od innych.

LB: Ekonomiści akurat mieli świadomość tego, co się dzieje, ale oczywiście politycznie nie mieliśmy pojęcia, jak władza będzie reagować.

LW: Proszę nie myśleć, że Solidarność była o czymkolwiek specjalnie informowana. Wiedzieliśmy tyle co inni i widzieliśmy, że dalej się już tak nie da.

LB: Dla tych, którzy nie pamiętają lat osiemdziesiątych: kartki na żywność, czekoladę, mydło, wódkę. Kolejki, puste półki w sklepach, niemożność kupienia czegokolwiek. To były najbardziej widoczne i dotkliwe dla społeczeństwa symptomy tego, co naprawdę dzieje się z polską gospodarką. Za rządów Edwarda Gierka zaciągnięto ogromne długi, które – jak wiadomo – przestano spłacać. Taka sytuacja zaczęła się tuż po stanie wojennym, po nałożeniu przez rząd Stanów Zjednoczonych sankcji gospodarczych na PRL. Komunistyczna władza uznała, że jest zwolniona z obsługi długu zagranicznego. Polska była bankrutem, choć oczywiście państwa nie da się zamknąć jak przedsiębiorstwa. Zaczęto więc drukować pieniądze. I tak zaczęła się nakręcać inflacja. Mam wrażenie, że w kręgach władzy narastały świadomość katastrofy i zwykły strach przed gniewem ludzi wywołanym wzrostem cen. Wybuch społecznego niezadowolenia z powodu sytuacji materialnej był właściwie nieunikniony, a te strajki, o których Pan wspominał, były zwiastunami tego, co może nadciągnąć. Ja to tak widziałem.

LW: Wybuch? Ludzie u kresu wytrzymałości mogli się zbuntować, to prawda. Ale jaka to by była skala? Nawet ja nie wiedziałem, choć umiem oceniać nastroje społeczne. Młodzież się radykalizowała nawet wobec nas, starych opozycjonistów. O tym też pamiętajcie. Mieliliśmy świadomość załamania gospodarczego, choć bez szczegółów, ale naszym głównym postulatem była legalizacja zdelegalizowanej w stanie wojennym Solidarności. Powtarzałem nieustająco: nie ma wolności bez Solidarności. To był punkt wyjścia do rozpoczęcia jakichkolwiek rozmów, punkt, z którego nie zamierzałem ustępować. Oni grali swoją grę, my swoją. Oni chcieli nas pozyskać, bo już nie byli w stanie wyprowadzić kraju z kryzysu, my chcieliśmy wywalczyć Solidarność, wolność

i demokrację. I jeszcze docierały do nas informacje, że Jaruzelski z Kiszczakiem mogą zostać obaleni przez partyjny twardego betonu.

LB: A to by oznaczało, że żadnych reform nie będzie, ani politycznych, ani gospodarczych.

LW (W ZAMYŚLENIU): Mogło tak być. I dlatego Jaruzelski z Kiszczakiem uznali, że trzeba zacząć z nami rozmowy. I chociaż tamten strajk w stoczni musieliśmy szybko przerwać, czułem, że nadchodzi czas na dalsze działania.

LB: Przerwany strajk to była porażka?

LW: Nie. Widzi Pan, zdecydował brak poparcia innych zakładów pracy z Wybrzeża.

LB: Ciekawe. Wydawało mi się, że opozycja jest dobrze zorganizowana.

LW (Z WESTCHNIENIEM): To mit, ale dobrze, że funkcjonował. Musieliśmy wyjść ze stoczni, bo nie byliśmy w stanie niczego osiągnąć. Władza nie poszła na żadne ustępstwa, ale przynajmniej nie użyto siły. Przypomnę tylko, że poparli nas jedynie studenci z Uniwersytetu Gdańskiego. A wiecie, kto tam stanął na czele tego strajku? Młody student Paweł Adamowicz, późniejszy wieloletni prezydent Gdańska, brutalnie zamordowany w styczniu 2019 roku podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

KKZ: Razem z Tadeuszem Mazowieckim wyszliście ze stoczni i szliście w pochodzie ulicami Gdańska ze Stoczni Gdańskiej do kościoła Świętej Brygidy.

Tadeusz Mazowiecki i Lech Wałęsa podczas strajku Stoczni Gdańskiej im. Lenina w 1988 roku



LW: Biły dzwony i tłum gęstniał. Mimo braku poparcia strajku ze strony innych zakładów pracy poczułem, że to w końcu może być jakiś przełom, że po latach marazmu coś się zaczyna ruszać. Napisaaliśmy wtedy, że opuszczamy stocznię, bo z władzą porozumienie jest niemożliwe. Nie wychodzimy ze stoczni z triumfem, ale z podniesionym czołem, przekonani o słuszności naszego protestu. I mimo że strajki w Nowej Hucie i w stoczni nie zakończyły się sukcesem, pokazaliśmy, że opór przeciwko reżimowi istnieje. Strajku nie wygraliśmy, ale pokazaliśmy komunistom, że wciąż żyjemy. To samo pokazaliśmy społeczeństwu. Żyjemy, walczymy. I naród powoli zaczął się budzić.

LB: Rok 1988 okazał się przełomowy, choć chyba nic tego nie zapowiadało. Przynajmniej z perspektywy takich ludzi jak ja.

LW: W sierpniu znów wybuchły strajki – na Śląsku i na Wybrzeżu. Czułem, że sytuacja się zmienia, bo zamiast pacyfikacji ze strony ZOMO był wyłącznie pokaz siły. Górnicy nie wysunęli wyłącznie żądań płacowych, ale ich pierwszym postulatem była rejestracja Solidarności. To wtedy generał Czesław Kiszczak, szef MSW, a i bezpieki, wysłał sygnał, że są gotowi do rozmów. Sygnał poszedł od Stanisława Cioska, członka KC PZPR do Kościoła. Kościół był pośrednikiem między nami.

LB: Nie miał Pan podejrzeń, że to jakaś zagrywka władzy?

LW: Musieliśmy skorzystać z okazji. Co innego można było zrobić, aby osiągnąć nasz cel, czyli legalizację Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”? Generał Kiszczak nie mógł sobie darować ciągłego przypominania, że ma pod sobą policję i wojsko, a za wschodnią granicą Wielkiego Brata.

LB: Z relacji historyków wyłania się obraz Moskwy, która poluzowuje więzi z satelickimi dotąd krajami. Michaił Gorbaczow wprowadzał

pierestrojkę i choć oczywiście nie zamierzał rezygnować ze swojej strefy wpływów w Europie Środkowej, zwłaszcza w sprawach gospodarczych i wojskowych, to już utrzymanie ustroju komunistycznego przestawało być warunkiem. Ale to było jasne już po fakcie. Wówczas władza w Polsce chętnie wykorzystywała radziecki straszak.

LW: Nieustająco. Ja myślę, że ekipa Jaruzelskiego sama nie wierzyła, że nagle „bratnia pomoc” może zniknąć. I nie jestem pewien, czy wierzyli, że zmiany zachodzące u Sowieców są trwałe. A nawet jestem pewien, że byli pewni, że to tylko taki chwilowy kaprys i za chwilę wszystko wróci do ich normy. Tak mogą mówić dzisiaj, po trzydziestu latach, ale wtedy uznałem, że najlepsza jest metoda krok po kroku. Otwierać te uchylone drzwi coraz szerzej. Byłem ostrożny, bo oni też widzieli, że nie strajkuje cały kraj. Kilkanaście zakładów, a nie kilkaset.

LB: Ale za chwilę mogło być kilkaset?

LW: Już wtedy zacząłem dużo jeździć po kraju i czułem, że damy radę. Wiedziałem, że nastroje falują, więc jeździłem i podsyciałem ten żar. Tak dalej się nie dało żyć. Uchwyciłem się tej szansy i parłem do przodu. Jest szansa na rozmowy i negocjacje, no więc próbujemy. Choć oczywiście myślałem sobie: czy godzi się rozmawiać z oprawcami?

LB: Odpowiedział Pan sobie twierdząco.

LW: Czy miałem inne wyjście? (POTRZĄSA GŁOWĄ W ZAMYŚLENIU)
Nie myślcie, że było mi łatwo, choć moi wrogowie pewnie będą mówić inaczej. Chcę tu powiedzieć bardzo zdecydowanie i uczciwie: mogliśmy usiąść do rozmów, bo obie strony były słabe. Zniszczona przez stan wojenny opozycja i zagrożona przez kryzys gospodarczy



Rozmowy „przy prostokątnym stole” w pałacyku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ul. Zawrat w Warszawie, w których udział wzięli przedstawiciele strony rządowej, opozycji i Kościoła katolickiego. Na pierwszym planie Lech Wałęsa, przewodniczący NSZZ „Solidarność”, i generał Czesław Kiszczak, minister spraw wewnętrznych

i wewnętrzne tarcia komunistyczna władza. Splot tych okoliczności okazał się zapalnikiem, który sprawił, że samochód mógł ruszyć do przodu, a nie stać.

KKZ: Pierwsze spotkanie Wałęsa – Kiszczak odbywa się 31 sierpnia 1988 roku w Warszawie z udziałem arcybiskupa Jerzego Dąbrowskiego. Dość symboliczna data. W rocznicę podpisania porozumień sierpniowych. Czesław Kiszczak twierdzi, że to on ją wymyślił.

LW: Może i wymyślił, ale co tam daty. Kiszczak to był szczwany lis, a ja nie mogłem za bardzo podskakiwać. Mówiłem wam: strajki mogły wygasnąć i oni by uznali, że nikt za mną nie stoi. Ja też musiałem być sprytny, grać na tym, że opór robotników i społeczeństwa jest tak duży, że zaraz wszystko wybuchnie. A to niekoniecznie musiała być prawda. (ŚMIECH) Pierwsze rozmowy z władzą nie nastrajały do optymizmu. Kiszczak straszył i groził. Dzięki przedstawicielom Kościoła, księdzu Alojzemu Orszulikowi, biskupowi Tadeuszowi Gocłowskiemu między innymi, udało się uzgodnić, że rozmowy będą kontynuowane. Okrągły Stół został zbudowany w Henrykowie i stał w pałacyku w Jabłonnej.

KKZ: Tyle że wtedy do akcji wkracza nowy premier Mieczysław Rakowski. 27 września 1988 roku obejmuje urząd i ze zwolennika dialogu – jak mogło się wydawać – staje się zwolennikiem twardej ręki. Słynne staje się jego powiedzenie, że Polaków mniej interesuje Okrągły Stół, a bardziej suto zastawiony. I zapowiada, że tym zajmie się na początku, bo za dużo czasu stracono już na gadanie.

LW: Rakowski był pierwszym, który tak otwarcie dał do zrozumienia, że nie wierzy w socjalistyczną gospodarkę. No bo jak inaczej rozumieć jego słowa?

LB: Sformułowanie o suto zastawionym stole brzmiało niezwykle śmiesznie, biorąc pod uwagę ówczesną sytuację w polskich sklepach.

KKZ: Rząd Rakowskiego doprowadza do uchwalenia tak zwanej ustawy Wilczka, od nazwiska ówczesnego ministra przemysłu Mieczysława Wilczka, liberalizującej przepisy dotyczące działalności gospodarczej. Każdy mógł założyć własną, prywatną firmę. Rząd podjął też działania w celu komercjalizacji niektórych przedsiębiorstw państwowych i zreformowania systemu bankowego.

LW: To była jego rozpaczliwa próba ratowania władzy, bo wiedział, że gospodarki nie uratuje. Grał na czas. Zrobić reformy gospodarcze bez politycznych.

LB: Politycznie dalej nie chcieli się posunąć, ale teraz wiemy, że w gospodarce mogli próbować i może skończyłoby się jak w Rosji. Ale czy chcielibyśmy mieć takie państwo jak współczesna Rosja?

LW: Retorycznie Pan Premier pyta!

LB: Ale przyzna Pan, że gdyby nie Solidarność, mogło im się powieść.

LW (POTAKUJĄCO KIWA GŁOWĄ)

LB: Prezydent Gorbaczow w ZSRR próbował modernizować gospodarkę mimo sprzeciwu twardogłowych. Ale pierestrojka w ZSRR z góry skazana była na niepowodzenie, bo z jednej strony uruchamiano mechanizmy wolnego rynku, z drugiej pilnowano, żeby gospodarka nie wymknęła się spod kontroli państwa. Komuniści byli zbyt skrupowani ideologią, która chciała kontrolować wszystko. Przypomnijmy sobie, czym zajmowało się Biuro Polityczne PZPR: cenami śmietany! I tak, zgadzam się z Panem Prezydentem: późniejsza reforma Wilczka była uznaniem zasadniczego błędu socjalizmu – zakazu własności prywatnej. To było zresztą wiadome od dawna, ale trzeba było tylu cierpień, tylu szkód gospodarczych i społecznych i takiej katastrofy, żeby z tego błędu zdecydowali się wyjść. Ja wtedy zacząłem się zastanawiać, jak oni naprawdę definiowali socjalizm.

LW: Wszystko pod kontrolą. Powiedział Pan to.

LB: Znakomicie. A proszę spojrzeć na politykę Chin. Klasyczna definicja socjalizmu jest w sumie prosta. Socjalizm to antykapitalizm – nie ma

własności prywatnej, nie ma rynku. Ale Chińczycy przekręcili sens tego słowa: socjalizm to jest władza w rękach partii, która nazywa się socjalistyczna, nawet jeśli ta władza prywatyzuje. (ŚMIECH) I w gruncie rzeczy o to właśnie chyba chodziło u schyłku PRL. Władza pozostaje w naszych rękach.

LW: Jest dokładnie, jak Pan mówi. Za rządów Rakowskiego znów zaczęły narastać represje. Raport Solidarności mówił o co najmniej pięćdziesięciu przypadkach pobicia osób zatrzymywanych pod zarzutem prowadzenia działalności opozycyjnej. Ludzi kojarzonych z Solidarnością, uczestników strajków wyrzucano z pracy. Rakowski uważał, że da się bez legalizacji Solidarności uzyskać pomoc gospodarczą z Zachodu i tym samym utrzymać władzę.

LB: Naiwne myślenie.

LW: O tak. Szybko się przekonał, że Zachód na to nie pójdzie. Amerykańscy prezydenci Ronald Reagan i George Bush od początku stali po stronie Solidarności. Margaret Thatcher z entuzjazmem nas wspierała. Dla władzy to musiało być straszne zaskoczenie, biorąc pod uwagę, jak bezwzględnie walczyła ze związkami zawodowymi u siebie.

LB: To wtedy premier Mieczysław Rakowski podejmuje decyzję o rozwiązaniu Stoczni Gdańskiej, w październiku 1988 roku. Zastanawiałem się, czy to jest decyzja ekonomiczna, bo stocznia nie była rentownym przedsiębiorstwem, nie było pracy, robotnicy odchodzili.

LW (MACHA RĘKĄ): Ekonomiczna? Wykluczone.

LB: Patrząc na tę władzę, też uznałem, że chodziło wyłącznie o politykę. Prowokację wymierzoną w ideę porozumienia. Może Rakowski

uznał, że w ten sposób zyska na popularności wśród partyjnego betonu. Zresztą parę lat później przyznał, że popełnił polityczny błąd, nie doceniając siły mitu.

LW (Z OŻYWIENIEM): Chciał nas rozjuszyć, więc uderzył w najświętsze miejsce Solidarności. Jak na polityka zachował się jak głupiec. A potem zaprosił nas do rozmów, dokładnie miesiąc później. Bolszewickie metody. Ale czułem, że im się też pali grunt pod nogami. Pamiętajcie, że w PZPR byli i reformatorzy, którzy rozumieli to, co Pan mówi, że jak gospodarka runie, to i państwo runie, ale był też partyjny beton, który nie chciał żadnych zmian. Jaruzelski z Kiszczakiem należeli do reformatorów, choć może trzeba ich nazwać racjonalistami. Oni już rozumieli, że nie ma czego ratować. Ja miałem za sobą papieża Jana Pawła II, miałem Zachód. Oni nie byli pewni, czy na swojego Gorbaczowa to na sto procent mogą liczyć. A ja też się miotalem. Gdy zamykali stocznię, chciałem iść na ostro. 11 listopada, w dzień święta narodowego, wtedy jeszcze nieobchodzonego tak jak dziś, a przez wiele lat zakazanego, milicja biła uczestników manifestacji, a ja też chciałem iść na ostro. Za to władza wciąż odmawiała jakichkolwiek deklaracji w sprawie przyszłości NSZZ „Solidarność”. Dyskutowaliśmy wewnętrznie, co robić. Nie mogliśmy wykluczyć, że władza zachęca do negocjacji, by uspokoić nastroje społeczne i osłabić Solidarność. Ale z drugiej strony to była nasza dziejowa szansa i czuliśmy się odpowiedzialni za Polskę.

LB: Rozumiem, przed jak poważnym dylematem stanęliście.

LW (WYRAŹNIE ROZRADOWANY): I wtedy Alfred Miodowicz, szef OPZZ, związku zawodowego będącego pod kontrolą komunistów, ale też członek Biura Politycznego PZPR, postanowił zapisać się w historii i wyzwwał mnie na debatę.